

TYM RAZEM LISA GARDNER PRZESZŁA SAMĄ SIEBIE.
FRANKIE ELKIN JEST BOHATERKĄ, KTÓRA PRZEJDZIE DO HISTORII.

Tess Gerritsen

LISA

GARDNER

ZANIM

ZNIKNEŁA

NOWA
SERIA!

Jest milion powodów, by przepaść bez wieści.
Nie zawsze z własnej woli...

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
BEFORE SHE DISAPPEARED

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2022

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: © David Paire/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

WODA PIEŚCI ZIMNYMI DŁOŃMI moją twarz. Nurkuje głębiej w mrok, długie włosy suną za mną niczym ciemne węgorze. Mam na sobie ubranie. Dżinsy, tenisówki, T-shirt, niezapiętą kurtkę; jej rozchylone poły krępują mi ruchy. Ubranie robi się coraz cięższe i w końcu ledwo ruszam kończynami.

Dlaczego jestem ubrana?

Pianka do nurkowania.

Butle z tlenem.

Przez głowę przelatują mi różne myśli, ale żadna nie pozostaje na dłużej.

Muszę dotrzeć do dna jeziora. Tam, gdzie nie dochodzi światło słońca i czyhają na mnie różne stworzenia. Muszę znaleźć... muszę...

Moje płuca stają się tak samo ciężkie jak nogi. Zwiększa się ucisk w klatce piersiowej.

Stary pick-up Chevroleta. Poobijany, przerdzewiały, z wyblakłym od słońca dachem szoferki. Jego obraz pojawia się w moim umyśle i kurczowo się go trzymam. Dlatego tu jestem, tego właśnie szukam. Srebrzystej kreski w jeziornym mule.

Zaczęłam od sonaru. Kolejna luźna myśl, ale opadając coraz niżej w wodną otchłań, to także jestem sobie w stanie przypomniać. Siebie, za sterami małej łódki, którą wynajęłam

za własne pieniądze. Przez całe dwa dni, bo na tyle było mnie stać, zataczałam szerokie kręgi po jeziorze, testując teorię, którą odrzucili wszyscy inni. Aż do chwili...

Gdzie jest moja pianka do nurkowania? Gdzie butla z tlenem? Coś jest nie tak. Jest mi potrzebna... Muszę...

Nie mogę logicznie myśleć. Moje płuca płoną. Czuję, jak zapadają się w klatce piersiowej; chcę za wszelką cenę zaczerpnąć powietrza. I nagle wdycham ciemną mętną wodę. Nie walczę dłużej z jeziorem, ale stoję się jego częścią. Nie będę już musiała płynąć. Opadnę na dno i jeśli moja teoria jest słuszna, dołączę do tej, której szukam. Będę kolejną zagubioną duszą, po której zaginie wszelki słuch.

Stary pick-up. Dach szoferki, który przybrał kolor zachmurzonego nieba. Pamiętaj o tym. Skup się. Znajdź go.

Czy to, co tam widzę, to nie błysk srebra schowanego za gęstą ścianą wodorostów?

Staram się popłynąć w tamtą stronę, lecz zaplątuję się w poły kurtki. Zatrzymuję się i przebierając gorączkowo nogami, próbuję ją z siebie ściągnąć.

Ucisk w klatce piersiowej znów się zwiększa.

Czy nie miałam ze sobą butli z tlenem?

Czy nie włożyłam pianki?

Coś jest zdecydowanie nie tak. Muszę się skupić, ale jezioro wygrywa, moje płuca płoną i tracę siłę w rękach i nogach.

Czuję na policzku miękki dotyk wody. Wzywa mnie, a ja odpowiadam na jej wezwanie.

Moje nogi poruszają się coraz wolniej. Ramiona się unoszą. Pozwalam, by ściągał mnie w dół ciężar ubrania, balast w mojej piersi. Zaczynam opadać szybciej. Coraz niżej, niżej, niżej.

Zamykam oczy i już nie walczę.

Paul zawsze powtarzał, że zbyt zaciekle walczę. Zbyttnio wszystko utrudniam. Nawet jego miłość do mnie. Ale ja go oczywiście nie słuchałam.

Moje żyły wypełnia teraz dziwne ciepło. Jezioro wcale nie jest ciemne i mętne. To sanktuarium. Obejmuje mnie niczym kochankę, obiecuje, że nigdy mnie nie opuści.

I nagle...

To nie srebrzysta kreska. To nie dach starego poobijanego pick-upa, który najlepsze lata ma już dawno za sobą. Zamiast niego na ciemnozielonym dnie dostrzegam pojawiające się i znikające czarne wybrzuszenie. Czekam, aż falujące z prądem wodorosty przesuną się w lewo, i znów je widzę, a obok niego kolejne i jeszcze jedno. Spoczywające na dnie jeziora cztery identyczne kształty.

Opony. To są opony. Gdybym nie była tak cholernie zmęczona, parsknęłabym histerycznym śmiechem.

Sonar mówił prawdę. Przekazał ziarnisty obraz leżącego na dnie głębokiego jeziora obiektu, o odpowiednich rozmiarach i kształcie. Nie przyszło mi do głowy, że ten obiekt leży kołami do góry.

Budzę się z letargu i czuję ostatni przypływ determinacji. Miejscowi twierdzili, że się myślę. Drwili ze mnie i przewracali oczami, kiedy ładowałam sprzęt na łódkę, której nie umiałam nawet prowadzić. Mówili mi w twarz, że jestem szalona, i opowiadali prawdopodobnie jeszcze gorsze rzeczy za moimi plecami. Ale teraz...

Rusz się. Szukaj. Płyn. Zanim jezioro wygra tę bitwę.

Pianka do nurkowania. Butla z tlenem. Te myśli tłuką mi się gdzieś z tyłu głowy. Coś jest nie tak. Nie tak, nie tak, nie tak. Ale jestem zbyt zamroczona, żebym mogła to skorygować.

Płynę dalej w dół, walcząc z wodą, walcząc z brakiem tlenu. Mają rację: jestem szalona. Dzika, uparta, nierozważna.

Ale nie dałam się złamać. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Dopływam do pierwszej opony. Łapię śliską gumę, by zorientować się w położeniu. Teraz szybko, bo zostało mało czasu. Tylna opona. Sunę wzdłuż obrosniętej algami ramy i w końcu docieram do szoferki.

I wtedy otwieram szerzej oczy.

Lani Whitehorse. Dwadzieścia dwa lata. Kelnerka, matka trzyletniej dziewczynki. Kobieta z długą historią pechowych związków z mężczyznami.

Zaginęła osiemnaście miesięcy temu. Uciekła z facetem, doszli do wniosku miejscowi. Niemożliwe, upierała się jej matka.

A teraz została odnaleziona, na dnie jeziora, poniżej ostrego zakrętu, który pokonywała dzień w dzień, wracając do domu po pracy za barem, do drugiej w nocy. Dokładnie tak, jak zakładałam, studiując przez długie miesiące zapisy rozmów, mapy i niebywale cienkie policyjne akta.

Czy Lani źle oceniła zakręt, który mijala tyle razy wcześniej? Czy szarpnęła kierownicą, widząc przebiegającego przez drogę jelenia? A może po prostu zasnęła za kółkiem, zmęczona życiem, które wyssało z niej wszystkie siły?

Nie umiem odpowiedzieć na te pytania.

Ale mogę dać przynajmniej jedno jej matce i córce.

Lani zwisa do góry nogami, nadal przypięta pasem, w szoferce, do której wsiadła przed osiemnastoma miesiącami. Jej twarz zasłaniają unoszące się w wodzie kruczoczarne włosy.

Płuca już mi nie płoną. Ubranie już mi nie ciąży. W skupieniu zaciskam palce na klamce drzwi i ją pociągam.

Drzwi otwierają się z łatwością.

Tyle że... pod wodą nie da się otworzyć drzwi. Pianka do nurkowania. Butla z tlenem. Co jest nie tak, co jest nie w porządku? Mój umysł wszczyna w końcu alarm: grozi ci niebezpieczeństwo! Myśl, kobieto, myśl! Tyle że nie mogę, nie mogę, nie mogę...

Biorę głęboki wdech. Oddycham jeziorem. Wciągam je w płuca. Staję się z nim jednością. A może ono staje się jednością ze mną.

A Lani Whitehorse obraca głowę.

Spogląda na mnie pustymi oczodołami tkwiącymi w gółę czasu.

– *Za późno – mówi. – Za późno.*

I nagle wyciąga w moją stronę kościstą rękę i łapie mnie za nadgarstek.

Wierząc nogami, próbuję się wyrwać, ale nie trzymam już klamki. Nie mam się czego złapać. Brakuje mi powietrza i jestem teraz wyłącznie wodą w jeziorze i zielonymi wodorostami.

Lani Whitehorse z niewiarygodną siłą wciąga mnie do szoferki.

Ostatni krzyk. Patrzę, jak wydobywa się z moich ust w postaci bańki powietrza i unosi się coraz wyżej i wyżej. Tyle tylko ze mnie zostało.

Lani Whitehorse zatrzaskuje drzwi i zostaje z nią na zawsze w mrocznej toni.

ŁOSKOT. ZGRZYT. I PEŁNĄCY z głośnika komunikat: „Następny przystanek: South Station!”.

Pociąg staje na peronie, a ja budzę się nagle, mrugam i zerkam na swoje całkowicie suche ubranie.

To był sen. Koszmar. Nie pierwszy i nie ostatni w mojej robocie. Lekko spocona z przerażenia, łapię walizkę i spóźniona wysiadam z wagonu w ślad za innymi pasażerami.

Odnalazłam Lani Whitehorse trzy tygodnie wcześniej, uwięzioną w pojeździe na dnie jeziora. Stało się to po kilku miesiącach intensywnych poszukiwań w indiańskim rezerwacie, gdzie od początku nie byłam mile widziana przez miejscowych i plemienną policję. Trafiłam na tę sprawę w sieci i zaimponowała mi niewzruszona pewność matki, że Lani nigdy nie porzuciłaby córki. Mogła mieć długą historię pechowych związków z mężczyznami, ale była mamą. Nigdy nie dowiem się, dlaczego według pewnych ludzi takie rzeczy nie mogą iść ze sobą w parze.

Pojechałam więc tam, zatrudniłam się jako barmanka w

byłym miejscu pracy Lani i wszczęłam moje własne śledztwo.

Matka Lani wyściskała mnie w dniu, kiedy w strugach szlamu i grozy policja w końcu wyciągnęła z jeziora furgonetkę jej córki. Jednocześnie rozpaczała i cieszyła się, że Lani wróci wreszcie do domu. Zaczekałam tam do pogrzebu i wzięłam w nim udział, stojąc na uboczu, bo udowodnienie, że miało się rację, prawie zawsze oznacza, że ktoś inny się mylił, i dlatego nie przysparza ci przyjaciół.

Zrobiłam, co do mnie należało. A potem poszłam do miejscowej biblioteki, odpałam komputer i wróciłam na strony ogólnokrajowych grup dyskusyjnych, na których członkowie rodzin, zatroskani sąsiedzi i fiksaci, tacy jak ja, wymieniają uwagi na temat zaginionych osób. Znika ich tak dużo. Czasami zbyt dużo jak na lokalne możliwości. I tę lukę coraz częściej wypełniają ludzie mojego pokroju.

Poczytałam sobie. Wysłałam kilka pytań. I po paru godzinach wiedziałam już, dokąd udam się teraz.

Tyle osób przepada bez wieści. Zbyt wiele.

Dlatego przyjechałam do Bostonu, miasta, w którym nigdy wcześniej nie byłam. Nie mam pojęcia, gdzie jestem i co robię, ale to nic nowego. Na razie zmierzam wraz z tłumem peronem do wyjścia, z całym moim dobytkiem spakowanym do jednej walizki, którą za sobą ciągnę. Kiedyś miałam dom, samochód i ogródek z białym płotkiem. Ale czasy się zmieniają i obecnie...

Powiedzmy po prostu, że nauczyłam się podróżować bez zbędnego bagażu.

Po wyjściu z dworca przystaję na skąpanym w słońcu chodniku, mrugam, po czym zaciskam mocno powieki. Śródmieście Bostonu atakuje wszystkie zmysły. Hordy ludzi, klaksony, pikające przejścia dla pieszych. Smród diesla, smażonej ryby i słonej wody z portu. Zapomniałam już, jak przytłaczająca jest betonowa dżungla, nawet ta, którą

obmywają lśniącej wody zatoki.

Biorę głęboki, mocny wdech. To będzie mój nowy dom do czasu, aż wykonam misję. Powoli wypuszczam powietrze z płuc, otwieram oczy i prostuję ramiona. Oddalam od siebie resztki koszmaru i trudy podróży. Jestem gotowa ruszać dalej, i to dobrze, zważywszy, ilu przeciska się obok mnie zniecierpliwionych przechodniów.

Z mojej sfatygowanej skórzanej torby kurierskiej wyjmuję teczkę z materiałami, które wydrukowałam przed kilkoma dniami. Są tu mapka Bostonu, artykuły na temat demografii miasta oraz fotografia uśmiechającej się nieśmiało dziewczyny o gładkiej ciemnej twarzy, wspaniałych brązowych oczach i czarnych włosach, które spływają kaskadą starannie wyszczotkowanych loków. Miała piętnaście lat, kiedy zniknęła. Teraz ma szesnaście.

Poznajcie Angelique Lovelie Badeau. Dla przyjaciół Angel. Dla rodziny LiLi.

Angelique zniknęła przed jedenastoma miesiącami na Mattapanie, dzielnicy Bostonu. Wyszła ze szkoły w listopadowe piątkowe popołudnie i... bum! Nikt już jej więcej nie zobaczył. Żadnych tropów. Żadnych przełomów w sprawie. Przez jedenaście długich miesięcy.

Bostończycy powiedzą ci, że Mattapan to właśnie taka dzielnica. Niebezpieczna. Biedna. Zamieszkują ją oczywiście ciężko pracujący, uczciwi ludzie, a dzięki najliczniejszej w Stanach, poza Florydą, populacji Haitańczyków szczyci się bogatym dziedzictwem kulturowym, ale działa tam również wiele gangów i dochodzi do wielu przestępstw z użyciem przemocy. Jeżeli chcesz, żeby cię zastrzelili albo zadźgali, Murderpan, jak przekręcają tę nazwę miejscowi, jest do tego idealnym miejscem. Tam właśnie zamierzam wynająć mieszkanie, znaleźć pracę i zacząć wypytywać sąsiadów.

I mam nadzieję, że dzięki intuicji, determinacji i odrobinie

szczęścia uda mi się znaleźć dziewczynę, o której cały świat najwyraźniej już zapomniał.

Nie jestem policjantką.

Nie jestem prywatnym detektywem.

Nie mam specjalnych umiejętności ani wykształcenia.

Jestem tylko sobą. Przeciętną białą kobietą w średnim wieku, mającą więcej rzeczy, których żałuje, niż tych, które posiada, więcej smutnych aniżeli wesołych historii.

Nazywam się Frankie Elkin i zajmuję się odnajdywaniem zaginionych osób – zwłaszcza tych należących do mniejszości. Kiedy policja daje za wygraną, kiedy ludzie już powoli zapominają, kiedy media tracą zainteresowanie, pojawiaam się i zaczynam szukać. Nie dla pieniędzy ani dla sławy – i w większości przypadków bez niczyjej pomocy. Dlaczego robię to, co robię?

Tyle naszych dzieci zginęło. Tyle nigdy nie zostanie odnalezionych, często wyłącznie ze względu na kolor ich skóry. Może zamiast: „Dlaczego to robię?” pytanie powinno brzmieć: „Dlaczego nie robią tego wszyscy?”.

Angelique Lovelie Badeau zasługuje na to, by wrócić do domu.

Kolejny raz zerkam na moją mapę. Powinnam znaleźć linię metra, które zawiezie mnie na Morton Street. Na schemacie komunikacji miejskiej Bostonu oznaczona jest purpurową linią, której oczywiście nigdzie nie widzę. Obracam się dookoła w jednym miejscu. Obracam się w kolejnym. Nagle to sobie uświadamiam: nie powinnam w ogóle wychodzić z South Station. Idę tam z powrotem.

Nie przejmuję się tym, że błędzę. Że się gubię. Ani nawet że się boję.

Po tylu latach już do tego przywykłam.

Paul zwracał mi uwagę, że odpychając tych, których kocham, i narażając się na niebezpieczeństwo, robię to nie po

to, by ratować innych, ale by ukarać samą siebie.

Paul był zawsze bardzo mądry.

Spostrzegam wielką mapę komunikacji miejskiej Bostonu, wodzę palcem po purpurowej linii i odnajduję mój cel. Ponownie na szlaku, zmierzam prosto do Murderpanu.

Rozdział 2

O CZWARTEJ PO POŁUDNIU docieram do mojego pierwszego punktu docelowego. *Stoney's*, głosi napis nad wejściem. Namalowane na łuszczącym się czerwonym tle białe litery stanowią bardziej sugestię niż czytelny komunikat. Dwukondygnacyjny budynek nie różni się od innych przysadzistych zapuszczonych domków, stojących jeden obok drugiego po obu stronach ulicy. Chodnik jest tu szerszy, niż myślałam, i o tej porze dnia prawie pusty. Po lekturze niektórych artykułów spodziewałam się ujrzeć w każdej bramie gangsterów i dilerów. W rzeczywistości widzę tu i tam zajęte swymi codziennymi sprawami różne osoby, z których większość mierzy mnie, samotną białą kobietę, zaciekawionym spojrzeniem.

Z uczuciem ulgi otwieram drzwi i wtaczam walizkę do słabo oświetlonego wnętrza. Pracowałam jako barmanka przez większość dorosłego życia. To łatwa do znalezienia praca dla kogoś, kto się nie zakorzenia, i jak okazało się w ciągu ostatnich dziesięciu lat, dobry sposób, żeby zebrać informacje. Poza tym lubię tę robotę. Bary zawsze przyciągają samotników i odludków. Można poczuć się jak w domu.

Rejestruję zapach papierosowego dymu, który wgryzł

się w pory starego budynku. Na wprost przed sobą mam okrągłe drewniane stoliki ze zbieraniną różnych krzeseł. Po prawej stronie cztery boksy z popękanymi, ale nadal dzielnie trzymającymi się kanapami obitymi czerwonym winylem. Trzy kolejne boksy po lewej są mniej więcej w takim samym stanie.

Widzę sześciu gości. Wyłącznie czarnych mężczyzn. Siedzących w różnych miejscach niewielkiej sali i wpatrzonych w stojące przed nimi drinki. W tym momencie wszyscy podnoszą głowy, żeby mi się przyjrzeć. Jeśli lokalsi na ulicy przyglądali mi się z zaciekawieniem, tu spotykam się z jawną podejrzliwością.

W tej okolicy to ja jestem przedstawicielką mniejszości. Ale tak samo było rok, a także dwa i trzy lata wcześniej. Przywykłam do takich spojrzeń, jednak to wcale nie znaczy, że zawsze łatwo je znosić.

Na szczęście popołudniowi pijacy mają ważniejsze rzeczy na głowie. Jeden po drugim wracają do swoich indywidualnych smuteczków, a ja spoglądam na kontuar z ciemnego drewna, za którym samotny czarny mężczyzna wyciera stojące na tacy wysokie szklanki.

Podchodzę do niego.

Szczupły i zadbany, ma siwe włosy i krótko przystryżoną szpakowatą bródkę. Z poorly zmarszczkami skórą wokół oczu sprawia wrażenie kogoś, kto niejedno widział i przeżył dość, żeby o tym opowiadać.

– Pan Stoney? – zgaduję.

– Zabłądziła pani?

Facet odstawia jedną wysoką szklankę i bierze następną. Wokół pasa ma zawiązany biały fartuch i z dużą wprawą operuje ściereczką. Zdecydowanie właściciel, a poza tym ktoś, kto od kilkudziesięciu lat prowadzi tego rodzaju lokale.

– Ja w sprawie posady barmanki.

– Nie – odpowiada i łapie kolejną szklankę.

Stawiam walizkę przy barze i siadam na stołku. Jego odpowiedź mnie nie dziwi. Większość moich rozmów zaczyna się w ten sposób.

– Dwadzieścia lat doświadczenia – mówię. – Plus nie robię problemu, kiedy trzeba posprzątać, zaparzyć kawę albo stanąć przy frytkownicy.

Smażenina to naturalny dodatek do gorzały; jesteśmy blisko kuchni i powietrze jest gęste od tłuszczu. Smażone kurczaki, smażone ziemniaki – może nawet smażone banany, biorąc pod uwagę haitańską społeczność.

– Nie – powtarza.

Kiwam głową. Na barze leży druga ściereczka. Chwytam ją, biorę najbliższą szklankę i zaczynam wycierać.

Stoney łapie na mnie okiem, ale nie każe przestać. Żaden właściciel firmy nie wzgardzi darmową siłą roboczą.

Wycieramy oboje w milczeniu. Lubię to robić. Rytmiczne obracanie, posuwisty ruch ściereczki. Na górnych krawędziach szklanek, nawet tych suchych, nadal widać niewyraźną białą linię. Lata piwnej piany i dotyku ludzkich ust. Ale są czyste. Co zachęca mnie do Stoneya i jego lokalu. Poza tym ma na piętrze pokój do wynajęcia, na który prawie mnie stać. Znalazłam ofertę na tablicy ogłoszeń.

– Nie piję – oświadczam.

Wysokie szklanki na pierwszej tacy są już wytarte. Stoney zabiera ją i kładzie na barze tacę ze szklankami do whisky.

– Abstynentka? – pyta.

– Nie.

– Przyjechała pani nas zbawić?

– Zakłada pan, że sama jestem zbawiona.

Słyszac to, odchrząkuje. Wracamy do wycierania szklanek. Z tego, co się dowiedziałam, znaczna część populacji Mattapanu, która wywodzi się z Karaibów, mówi po

francusku, kreolsku, dialektem patois i tak dalej. Ale w głosie Stoneya nie słyszę obcego akcentu. Ma twardą wymowę mieszkańca Nowej Anglii. Może mieszkał w Bostonie od urodzenia albo przyjechał tu z Nowego Jorku czy Filadelfii, żeby otworzyć własny lokal. Zakładanie czegoś z góry jest zawsze niebezpieczne, choć nie sposób tego uniknąć.

– Anonimowa alkoholiczka – przyznaję się, kiedy kończymy wycierać szklanki do whisky.

Stoney stawia na kontuarze tacę z kilkudziesięcioma kieliszkami do wódki i oboje wracamy do pracy. Szybkiej, mechanicznej, bezmyślnej. Idealne ćwiczenie medytacyjne.

Stoney nie komentuje. Wyciera szybciej ode mnie, ale nie aż tak bardzo.

– Szklanki do wody? – pytam, kiedy wszystkie kieliszki są wytarte.

Stoney unosi brew. Czyli nie jest to lokal, w którym serwuje się napoje bezalkoholowe. Dobrze wiedzieć.

– Ma pan pokój do wynajęcia – mówię, opierając łokcie na mocno polakierowanym kontuarze.

– Niech pani wraca do domu.

– Nie mam domu. No więc tak to sobie wyobrażam. W zamian za zakwaterowanie będę pracowała cztery dni w tygodniu, od trzeciej do zamknięcia.

Stoney jest facetem, który potrafi zakomunikować wiele rzeczy, unosząc jedną brew.

– Nie podoba się panu, że jestem biała – mówię. – Albo że jestem kobietą. A może jedno i drugie. Myśli pan, że nie dam sobie rady.

– To miejscowy lokal. Odwiedzany przez miejscowych. Pani nie jest miejscowa.

Z udawanym zdziwieniem obracam się.

– To zabawne, ale nie widzę zbyt wielu miejscowych stojących w kolejce po tę robotę. A ogłoszenie wisi od dwóch

tygodni. Pokój jest wolny jeszcze dłużej, co musi zastanawiać, zważywszy, jak trudno jest tu coś wynająć. – Przyglądam mu się podejrzliwie – Ktoś tam wykorkował czy coś w tym rodzaju?

Facet kręci głową. Nie mając więcej szkła do wycierania, krzyżuje ręce na piersi i patrzy mi prosto w oczy. Nadal się nie odzywa.

– Nie boję się ciężkiej pracy. – Podnoszę jeden palec. – Mieszkając na górze, nie będę się spóźniać. I nie będę panu podpijała wody. Umieję szybko nalewać, wiem, jak wymienić keg i jestem idealną słuchaczką. Wszyscy lubią kogoś, kto potrafi ich wysłuchać.

– Nie polubią pani.

– Pan też mnie nie polubił, ale to się zmieni. Proszę dać mi miesiąc. Po tym czasie nikt nie zauważy, że jestem biała i piękniejszej płci. Będę kolejnym kranikiem za barem.

Stoney znów unosi brew, ale nie mówi „nie”.

– Dlaczego akurat tutaj? – pyta w końcu. – Jest wiele innych miejsc w Bostonie.

– Mam tu coś do załatwienia.

Ponownie wbija we mnie oczy.

Nie spuszczam wzroku. Podoba mi się ten gość. To ocalenie. Ktoś, z kim czuję łączność – i prędzej czy później on poczuje łączność ze mną.

– Pięć dni w tygodniu – mówi. – Od trzeciej do zamknięcia.

– Zakwaterowanie plus media – odpowiadam. – Jeden darmowy posiłek dziennie. I zatrzymuję napiwki.

Przygląda mi się jeszcze przez chwilę i nagle wyciąga do mnie rękę. Umowa stoi. Zdecydowanie czuję z nim łączność.

– Pokój jest z sublokatorką – informuje mnie.

– Nie było o tym mowy w ogłoszeniu.

– Teraz pani wie.

- Kto to taki?
 - Kocica.
 - W pokoju jest kot? Dlatego nikt nie chciał go wynająć?
- Stoney po raz pierwszy się uśmiecha. To łagodzi jego surowe rysy i marszczy szpakowatą bródkę.
- Jeszcze jej pani nie poznała.

PROWADZI MNIE NA PIĘTRO. Na pierwszy rzut oka małe, jednopokojowe pomieszczenie jest dokładnie tym, czego można się spodziewać w gęsto zaludnionej, borykającej się z kryzysem dzielnicy. Przy ścianie na wprost wejścia stoi podwójne łóżko z samotną szafką nocną po jednej stronie i szczelnie zasuniętymi czarnymi zasłonami po drugiej. Przymocowany do ściany metalowy pręt służy jako szafa, a przy frontowych drzwiach jest mały aneks kuchenny z europejskich rozmiarów lodówką i mikrofalówką. Wprawdzie nie ma piekarnika, lecz widzę elektryczny czajnik i ekspres do kawy, co całkiem mnie zadowala. Po drugiej stronie drzwi jest kojarząca się ze szpitalną salą prosta biała zasłona, zawieszona na kolejnym pręcie. Skrywa łazienkę z najmniejszym na świecie prysznicem i mikroskopijną umywalką. Niewiele przestrzeni i prywatności, ale trudno oczekiwać więcej za taką cenę.

Nie wspominając o tym, że pokój jest nieskazitelnie czysty, a na łóżku leży zaskakująco kolorowa, ręcznie szyta narzuta. Ponownie okazuje się, że Stoney potrafi zaskoczyć.

- Gdzie moja sublokatorka? – Rozglądam się.
- Nie jest towarzyska.
- Ma jakieś imię?
- Piper.
- I to jest jej pokój?

Stoney wzrusza ramionami.

– Pasuje jej.

Nadal nie wiem, co o tym sądzić. Teoretycznie lubię koty. Ale słowa Stoneya każą mi zachować ostrożność. Po skrzypiących starych deskach podłogi wtaczam na środek walizkę, nachylam się, unoszę powoli narzutę i zaglądam pod łóżko.

Dopiero po chwili dostrzegam lśniące zielone oczy, które obserwują mnie z wyraźną wrogością. Jest zbyt ciemno, by ocenić, jakiego koloru i wielkości jest kotka. Jedyne, co rejestruję, to czysta nienawiść.

– Piper – mówię.

W odpowiedzi kładzie uszy po sobie, gardłowo mruczy, a potem wyraźnie syczy. Pojmuję aluzję i opuszczam narzutę.

– No dobrze.

Stoney wychodzi już na korytarz.

– Chwileczkę. Co z jedzeniem dla kotki, wodą i kuwetą? Co muszę wiedzieć?

– Nic. Piper potrafi sama o siebie zadbać. Nie jest głupia. Tyle że nienawidzi ludzi.

– Jak długo tu mieszka?

Stoney drapie się po głowie.

– Dość długo.

– Wziął ją pan z ulicy?

– Przyszła tu z ulicy. – Stoney pokazuje otwarte drzwi, w których, co teraz zauważam, jest otwór dla małego czworonoga. – Potrafi sama o siebie zadbać – powtarza.

– Nie ustaliliśmy jeszcze, kiedy zaczynam.

Nie wiem dlaczego, ale nagle ogarnia mnie lekka panika. Nie chodzi o to, że będę sama z kotką. Więc może o to, że będę sama? Ale przecież jestem sama od zawsze. Tak żyję. Nie ma powodu bać się tego akurat teraz.

– Jutro – odpowiada Stoney. – Aha. Zamek w drzwiach nie jest zbyt solidny. Jeśli ma pani w tej torbie komputer,

chowałbym go codziennie przed wyjściem.

- Rozumiem.
- Ciepła woda raz jest, raz jej nie ma. Przeważnie nie ma.
- W porządku.
- Palenie wzbronione.
- Nie palę.
- Żadnej broni palnej.
- Nie mam.
- A w razie kłopotów?
- Liczę na mój urok osobisty.
- Gdyby panią zawiódł, pod barem trzymam kij

bejsbolowy.

- Dobrze wiedzieć.

Stoney kiwa głową i najwyraźniej ma zamiar iść już do swoich gości. Zostawiając mnie z dziką kotką.

W ostatniej chwili zaskakuje mnie i jeszcze się odwraca.

– Jak się pani ogarnie, proszę przyjść na dół i coś zjeść – mówi. – Nie mam czasu na obsługiwanie niepłacących gości, ale może pani zrobić sobie kanapkę. Wszystkie składniki są pod ręką.

To do tej pory najdłuższa wypowiedź, jaką mnie zaszczycił. Zastanawiam się, czy zaproponował to samo Piper, kiedy tu trafiła. Może ma słabość do przybłęd. Albo jak większość barmanów potrafi rozpoznać zagubioną duszę, kiedy ją widzi.

Dziękuję mu skinieniem głowy. Stoney wychodzi, a ja wciąż stoję pośrodku mojego nowego domu. Na kilka tygodni? Kilka miesięcy? Nie mam pojęcia. Zaczyna się najtrudniejsza część. I choć przerabiałam to już wcześniej, czuję się przytłoczona.

A to sprawia, że mroczna bestia mojego nałogu budzi się, otwiera oko i widzi doskonałą okazję. Robiąc sobie na dole kanapkę, mogę napić się piwa. A może lepiej wódki, tequili albo whisky bez lodu. Czegoś mocnego i wypróbowanego, co

rozluźni mi mięśnie i rozproszy wszelkie obawy.

Myślę o Paulu i czuję znajomy ucisk w piersi. Głęboki wdech, głęboki wydech.

A potem zostawiam walizkę na łasce dzikiej kocicy i ponieważ jest jeszcze jasno, wychodzę na dwór. Ponownie zaglądam do mojej wydrukowanej mapy, gdzie czerwonym X zaznaczyłam dom ciotki Angelique.

Ruszam ulicą i znowu czuję na sobie spojrzenia i chodzące mi po karku mrówki. Mam wyprostowane ramiona i wysoko uniesioną głowę. Uśmiecham się do mijanych ludzi. Powtarzam sobie, że jestem dość silna.

I modłę się, żeby tym razem rzeczywiście była.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).